

Przyjechała na dwa dni, by zagrać cztery spektakle - w poniedziałek refleksyjną „Kobietę zawiedzioną” Simone de Beauvoir, we wtorek komediową „Shirley Valentine” Willy Russela. Tłumy na przedstawieniach, zajęte wszystkie miejsca łącznie z dywanowymi i schodowymi obaliły popularny mit, że do teatru ludzie nie chodzą. Chodzą, proszę państwa, o ile warto tam zajrzeć. Może to swego rodzaju snobizm: „iść na Jandę”, ale snobizm w najlepszym guście. Ci, co zapłacili za bilety (drogo!) na pewno nie pożałowali wydanych pieniędzy, bo Krystyna Janda szanuje widza i na scenie daje z siebie wszystko - wrzusa i bawi do łez (to nie jest przeźnośnia), ponad dwie godziny skupia na sobie uwagę całej widowni, podporządkowując ją sobie bez reszty. Ile kosztuje ją to wysiłku widać, gdy opadnie już kurtyna - wyciszona, wzruszona owacjami widowni aktorka z wysiłkiem stawiała nogę za nogą, wychodząc kilka razy na scenę. Krystyna Janda szczecińską publicznością była zachwycona (i vice versa).

Teatralne spotkania z Jandą poprzedził przegląd (w klubie TRANS) pięciu obrazów z jej udziałem. O spektaklach dużo napisała lokalna prasa, pewnie państwo czytali. A o filmach?

- Na próbne zdjęcia „Człowieka z marmuru” przysłałam nie umalowaną, ubrana byle jak i oświadczyłam na wstępie, że mam 15 minut czasu. Strach przed upokorzeniem - bałam się po nieprzyjemnych doświadczeniach z innymi próbnymi zdjęciami - może czasami przybierać postać pychy. Postawiono mnie przed obiektywem, kamera ruszyła. Nie wiem, co się stało, ale natchmiasz wyskoczyła z hukiem z szyn, rejestrując przez cały czas moją twarz. Okazało się, że nawet nie mrugnęłam okiem. Potem Wajda podobno powiedział: ona może zabić, ona zagra.



JANDA

Zaprzyjaźnionemu fotoreporterowi powiedziała, że gdyby nie szczecińska publiczność, więcej by do Szczecina nie przyjechała. Zawiedli organizatorzy.

Nie zdawałam sobie sprawy, ani czym ten film stanie się dla mnie, ani jakie będzie miał znaczenie w ogóle, rozumiałam tylko jedno: będzie ważny, bo reżyseruje Wajda.

W „Dyrygencie” graliśmy z Andrzejem (Sewerynem - przyp. red.) znów razem. W jednej ze scen Andrzej, który nie pił w ogóle, miał być pijany. Żeby zbliżyć się maksymalnie do prawdy, przed ujęciem wypił na raz pół litra. Chodził po ścianach, trzeba było wezwać pogotowie. Tego dnia przysłałam na plan z dzieckiem, Marysia miała zagrać. Kiedy pogotowie odjechało, podszedł do mnie Wajda i powiedział: idź do niego, to jest twój mąż. A ja odpowiedziałam: nie, ty idź do niego, to

jest twój aktor. Zrozumiałam bowiem wówczas sprawę najważniejszą: że to jest właśnie aktor, i że tak będzie zawsze. Ja dla żadnego filmu, żadnego reżysera nie zrobiłabym nawet cząstki tego, na co on zdobył się dla jednej sceny.

Pogotowie już odjechało, Andrzej trochę wytrzeźwiał. Stałam obok Wajdy, koło nas bawiła się Marysia. Nagle mój mąż upadł Wajdzie do nóg i powiedział: „Andrzeju, to wszystko dla ciebie.” Pomyślałam: koniec, nie ma o czym mówić. Dłużej z nim nie będę.

- To nie ja miałam grać w filmie Bugajskiego, lecz kto inny. Wcale nie byłam pewna, czy tę rolę dostanę. Od początku ogromnie chciałam.

Scenariusz przewidywał, że w jednej scenie Tonia musi się rozebrać. Aktorka, o której myślał Bugajski nie chciała i rola była moja.

Nic w „Przesłuchaniu” nie jest udawane. Kiedy rzucają mnie na podłogę celi - nikt mnie nie oszczędza, kiedy dostaję w twarz - biją naprawdę, gdy polewają wodą - to ja stoję pod strumieniem z węża, nie dublerka.

Dzisiaj nie umiałabym tak zagrać, jak w „Przesłuchaniu”. To, co tam gram, wykracza poza sprawność zawodową, a podobnego stanu emocjonalnego dziś bym już w sobie chyba nie znalazła.

- Pod koniec ponurego roku 1982 zaczął się rysować na horyzoncie film, który miał mi przynieść zu-

pełnie nowe doświadczenie: „Kochankowie mojej mamy”. Historia miłości, lecz o wiele pełniejszej, niż uczucie między mężczyzną i kobietą. I na pewno mniej banalnej. Natchmiasz się zgodziłam. Zaczęły się zdjęcia. Po pięciu dniach wiedziałam już, że to nie będzie wielki film. Reżyser zanadto był ze mnie zadowolony. Jeśli reżyser uważa, że wszystko idzie jak trzeba, nie szuka się innych, lepszych rozwiązań. A na planie „Kochanków...” dzień zdjęciowy zaczynał się od słów zachwyty, kończył okrzykiem entuzjazmu. Okazaliśmy obydwójce - reżyser i ja - za mało przenikliwości, a może charakteru. Mimo żalu, że nie udało się więcej, ogromnie ten film lubię. Jest dla mnie ważny także z przyczyn osobistych: robiłam go, poza wszystkim, dla Marysi. Moja córka od wczesnego dzieciństwa była rozsądniejsza ode mnie, pamiętała o wszystkim za siebie i za mnie, logiczniej myślała.

Chciałabym jeszcze kiedyś wybrać się ze Sławkiem Piwowarskim w filmową podróż w podobne rejony. Mam takie ciche marzenie: zagrać w komedii o miłości z Jurkiem Stuhrem, którego uwielbiam i bardzo cenię.

Tyle Krystyna Janda o filmach, w których zagrała.

Po spektaklach pewnemu zaprzyjaźnionemu fotoreporterowi powiedziała, że gdyby nie wspaniała publiczność, nigdy by już do Szczecina nie przyjechała. Rozczarowała ją organizacja przedsięwzięcia. Szkoda by było. SPOTKANIA ZE SZTUKĄ - hasło pod egidą którego odbyło się już kilka wspaniałych spotkań, powinno obligować także organizatorów.

(rem)

Fot. R. Pajchel

W materiale wykorzystano fragmenty książki Krystyny Jandy „Tylko się nie pchaj”, wydanej przez BGW w 1992 r.